



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: SEKS I POLITYKA

Scenariusz najnowszego filmu Tomasza Zygadły „Sceny dziecięce z życia prowincji” powstał w oparciu o nowelę Andrzeja Menewela, lecz przecież u źródeł tego wszystkiego stoi słynna Stendhalowska opowieść o młodym parweniuszu z prowincjonalnego miasteczka, który dysponując urodą i nieprzeciętną inteligencją, ale także nie przebijając w środkach, zaczyna robić zawrotną karierę społeczną, aby nagle... runąć w najbardziej nieoczekiwanym momencie na samo dno.

Co z tego, że akcja powieści „Czerwone i czarne” toczy się w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku, we francuskich realiach, a film Zygadły jest jak najbardziej wyraźnie osadzony w polskiej rzeczywistości z ostatnich miesięcy 1979 i pierwszego półrocza 1980 roku? Droga na szczyty kariery nie wiele się zmieniła od czasów, gdy Julian Sorel zaczynał się wspinać po jej szczeblach, posługując się w tym pomocą kobiet i przyjaciół potężnych instytucji religijnych lub politycznych – wydają się mówić autorzy filmu. Nie zmienił się również mechanizm porażki gdy w grę wejdzie zemsta porzuconej kochanki, i gdy na dodatek w postępowaniu bohatera uczucie weźmie górę nad chłodną kalkulacją.

Pewnie: Stendhala najbardziej interesowało zagadnienie (zarówno w przypadku Juliana Sorela, jak i Fabrycego del Dongo z „Pustelni armeńskiej”) tych właśnie nagłych zwrotów w naturze człowieka, gdy skrywana gdzieś na samym dnie duszy pasja wypływa nieoczekiwanie na powierzchnię, niwecząc wszystkie jego dotychczasowe, często wieloletnich skrupulatne poczynania. Autora filmu „Sceny dziecięce z życia prowincji” bardziej pociąga kontekst społeczno-polityczno-obyczajowy mechanizmów kariery. Ale tak czy owak, związki filmu Tomasza Zygadły z powieścią „Czerwone i czarne” są aż nadto przejrzyste. Można by zaryzykować stwierdzenie, że „Sceny dziecięce z życia prowincji” są swoistą parafrazą - „na tematy polskie” (oczywiście współczesne tematy polskie) - słynnej powieści Stendhala. Czy mają być jej krzywym, groteskowo-satyrycznym odbiciem - nie wiem.

Zygadło wprowadza w swoim filmie polski krajobraz oraz polskie społeczne i polityczne realia. Ale kanwą dramaturgiczną opowieści jest u niego właściwie ta sama, co w „Czerwonych i czarnych”. U Zygadły syn właściciela dobrze prosperującego

prowinjonalnego zakładu stolarskiego (u Stendhala był to nb. tartak), porzuciwszy studia filozoficzne (?), spędza całe dni w domu, zgłębiając, trochę na własną rękę, a trochę przy pomocy swojego byłego profesora gimnazjalnego (dawnego członka KPP), klasyków marksizmu, starając się dojść „całej prawdy” o idei oraz o jej obliczu, gdy posiadła ona już władzę Julian - bo takie jest imię bohatera filmu - po kłótni z ojcem, który wyzywa go od „czerwonych pajaków”, porzuca dom. Znajduje zajęcie, jako korepetytor syna naczelnika miasta, byłego działacza młodzieżowego, który utknąwszy na prowincji, przeżywa gorycz „zwichnięcia” dobrze zapowiadającej się niegdyś kariery politycznej. Julian nawiązuje wkrótce romans ze starszą od siebie żoną naczelnika, panią R. (przejrzysta aluzja do pani de Renal z „Czerwonych i czarnych”), lecz gdy profesor załatwia mu miejsce sekretarza u jednego ze swoich warszawskich przyjaciół, będącego już na emeryturze, wybitnego dawniej działacza politycznego, chłopak bez żalu porzuca kochankę i wyjeżdża do stolicy. Towarzysz M., któremu sekretarzuje i w którego domu zamieszkuje Julian, postać niezwykła, którą można określić mianem historycznej, pracuje nad książką mającą wyjawić „całą prawdę” o czasach i zakrętach dziejowych, w jakich przyszło mu działać na swoim wysokim stanowisku. Dom towarzysza M. zorganizowany jest na zdrowych „przedwojennych” zasadach; obszerny, nie za bogaty, ale zasobny, z rodzinnymi obiadami, przygotowywanymi przez „pomoc domową”, z kształcącymi się na uniwersytecie dziećmi obracającymi się w gronie rówieśników, „z tej samej sfery”, skąd też wywodzą się odpowiedni kandydaci i kandydatki do właściwych mariaży... Wszystko układa się doskonale, dopóki córka towarzysza M. Matylda (koincydencja z Matyldą de la Mole, córką markiza?), nie zakocha się bez pamięci w Julianie. Oraz dopóki, zrozpaczona perspektywą ślubu swojego kochanka, pani R. nie trafi do mieszkania ojca Matyldy, wyjawiając mu „całą prawdę”! Od tego też miejsca wypadki zaczynają się w „Scenach dziecięcych z życia prowincji” toczyć równie lawinowo i dramatycznie dla naszego bohatera, jak w historii Juliana Sorela. Choć, trzeba przyznać, w sposób znacznie mniej dystyngowany. Tylko zakończenie całej sprawy będzie miało zupełnie inną treść i inny wydźwięk, niż u Stendhala... Ale o tym za chwilę.

Głównym walorem i - jak należy sądzić - główną ideą filmu Tomasza Zygadły jest przecież nie: „fabularna powtórka” z powieści „Czerwone i czarne”, ale wszystko to, co tyczy się problemów idei, władzy, polityki. Tych wpisanych z pewnością w nasze realia i tych rozumianych w szerszym, ponadpaństwowym wymiarze. Stwierdzenia bohaterów filmu - często jakże gorzkie dyskusje - nieraz prowadzące donikąd lub utykające na martwym punkcie, wypowiedzi - nieraz pokrętne, nawet kłamliwe lub wręcz ośmieszające samego mówiącego - pamiętniki, o których się mówi i dyskutuje, lecz które nigdy nie zostaną napisane, bo... po prostu nie ma o czym pisać, ale także postawy pełne godności i wiary w wyznawane zasady, składają się w „Scenach dziecięcych z życia prowincji”, w tym filmie

przecież w ostatecznym wymiarze politycznym na humanistyczny obraz. Obraz uwikłań, wzlotów i upadków człowieka próbującego powiązać zasady idei z zasadami władzy, politykę z filozofią, znaleźć jakiś sensowny kompromis pomiędzy sprawami swoich prywatnych uczuć i działaniami, gdzie bardziej potrzebne jest chłodne myślenie i bezwzględna postępowanie.

Wiele miejsca na ekranie zajmuje w „Scenach dziecięcych z życia prowincji” seks. Erotyka - można by zażartować - konkuruje w filmie Zygadły z polityką; pełen rozpierających go sił życiowych Julian nie tylko zgłębia „pryncypia”; poczyną sobie także ostro i dosadnie z kolejnymi partnerkami. (Notabene całkiem inaczej to wygląda niż w filmowej wersji powieści „Czerwone i czarne” Claude’a Autant-Lara z 1954 r., gdzie Gerard Philipe był tyleż romantycznym, co finezyjnym kochankiem). Ale trzeba zrozumieć reżysera: raz - że czasy i obyczaje się mocno zmieniły, dwa - że ciężar gatunkowy problemów i zagadnień, jakie się porusza i rozważa w tym filmie; trudny byłby do „strawienia” przez widownię, szczególnie tę młodszą, bez odpowiednich „przerywników”.

Zaś dla tych, którzy ponad sprawy łóżkowe przedkładają dobre aktorstwo, dodatkowym walorem z pewnością pod względem profesjonalnym zrealizowanego filmu (Zygadło jest świetnym dokumentalistą i tutaj potrafił umiejętnie połączyć swoje doświadczenia reżysera filmów dokumentalnych i twórcy filmów fabularnych), będzie wspaniale skonstruowana postać ojca Matyldy, w którego genialnie wcielił się Henryk Bista. To jedna z jego najciekawszych ról filmowych.

Jak już wspomniałem, zakończenie filmu Zygadły jest inne niż w Stendhalowskim pierwowzorze. Nie pada strzał z rewolweru wymierzonego w panią R., bo oto zaszła niezwykła okoliczność: wyją syreny fabryczne, jest któryś z późnych dni sierpnia 1980 r. Cały dotychczasowy układ, który tak bardzo absorbował myśli i dążenia Juliana, stanął pod znakiem zapytania. Rozpoczyna się nowa epoka. Czym ona się stanie dla polskiego Juliana?

Na ten temat wypadałoby Zygadłe nakręcić kolejny film.

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 4, s. 10-11.